

KOLORY OGNIA

**NIE MA TAKIEGO PIEKŁA,
KTÓRE POKONAŁOBY TĘ KOBIETĘ**

PIERRE
LEMAITRE

ALBATROS

Tytuł oryginału:
COULEURS DE L'INCENDIE

Copyright © Éditions Albin Michel – Paris 2018
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Joanna Polachowska 2020

Redakcja: Piotr Królak

Zdjęcie na okładce: Freepik

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Jeśli nawet pogrzeb Marcela Péricourta został zakłócony, a wręcz zakończył się w atmosferze zamętu, to przynajmniej zaczął się punktualnie. Ruch na boulevard de Courcelles od rana był zamknięty. W czasie gdy orkiestra zgromadzonej na dziedzińcu Gwardii Republikańskiej z przytłumionym hałasem stroiła instrumenty, z samochodów wysiadali na chodnik i z powagą witali się ambasadorowie, parlamentarzyści, generałowie, członkowie zagranicznych delegacji. Pod osłaniającym szerokie zewnętrzne schody wielkim czarnym baldachimem ze srebrnymi frędzlami, ozdobionym monogramem zmarłego, przesuwali się akademicy, stosując się do dyskretnych wskazówek mistrza ceremonii, którego zadaniem było utrzymanie porządku w tłumie osób czekających na wyprowadzenie ciała. Rozpoznawano wiele twarzy. Pogrzeb człowieka takiej rangi był jak książęce zaślubiny czy prezentacja kolekcji Luciena Lelonga – wydarzeniem, na którym każdemu, kto się liczył, wypadało się pokazać.

Madeleine, jakkolwiek silnie poruszona śmiercią ojca, była wszędzie, opanowana i skuteczna; wydając dyskretnie instrukcje, dbała o najdrobniejsze szczegóły. I tym bardziej była przejęta, że prezydent Republiki zapowiedział, iż pojawi się osobiście, by pomodlić się nad ciałem „swojego przyjaciela Péricourta”.

Odtąd wszystko zrobiło się trudne; republikański protokół był równie wymagający jak w monarchii. Dom Péricourtów, pełen agentów bezpieczeństwa i osób odpowiedzialnych za etykietę, nie zaznał odtąd chwili spokoju. Nie mówiąc już o tłumie ministrów, dworzan i doradców. Szef państwa był jak kuter rybacki, za którym stale podążały chmary ptactwa żywiącego się jego ruchem.

O ustalonej godzinie Madeleine, ze skromnie złożonymi dłońmi w czarnych rękawiczkach, stanęła u szczytu schodów.

Podjechał samochód, tłum ucichł, prezydent wysiadł, skinął głową, wszedł po schodach i na moment przytulił Madeleine, w milczeniu, wielkie smutki obywają się bez słów. Potem z eleganckim, wyrażającym fatalizm skinieniem głowy podążył za nią do kaplicy żałobnej.

Obecność prezydenta była czymś więcej niż tylko świadectwem jego przyjaźni ze zmarłym bankierem, była także symbolem. Prawdą jest, że okoliczność była wyjątkowa. Wraz z Marcelem Péricourtem „zgasła emblematyczna postać francuskiej gospodarki”, głosiły tytuły gazet, które potrafiły się jeszcze odpowiednio zachować. „Przeżył niespełna siedem lat po dramatycznym samobójstwie swojego syna Édouarda...”, komentowały inne. Nieważne. Marcel Péricourt był centralną postacią francuskiej finansjery i jego odejście, co wszyscy niejasno wyczuwali, przypieczętowało zmianę epoki, o tyle bardziej niepokojącą, że początkom lat trzydziestych towarzyszyły perspektywy raczej niewesołe. Dotąd nie zakończył się kryzys gospodarczy, który nastąpił po Wielkiej Wojnie. Francuską klasę polityczną, która z ręką na sercu zarzekała się, że zwyciężone Niemcy zapłacą co do centyma za wszystko, co zniszczyły, zdyskredytowały fakty. Kraj, któremu obiecywano, że będą budowane mieszkania, że naprawi się drogi, że inwalidzi dostaną odszkodowania, że będą wypłacane zasiłki, że powstaną nowe

miejsca pracy, jednym słowem, że znów będzie tak jak kiedyś – a nawet lepiej, bo wygraliśmy wojnę – tak więc kraj ten pogodził się z myślą, że ów cud nigdy nie nastąpi, że Francja będzie musiała radzić sobie sama.

Marcel Péricourt był przedstawicielem dawnej Francji, tej, która kierowała gospodarką w paternalistycznym stylu. Ludzie nie bardzo wiedzieli, kogo będą odprowadzali na cmentarz – czołowego francuskiego bankiera czy minioną epokę, którą ucieleśniał.

W kaplicy pogrzebowej Madeleine przez długą chwilę wpatrywała się w twarz ojca. Od kilku miesięcy jego głównym zajęciem było starzenie się. „Muszę się nieustannie pilnować – mówił. – Boję się, że będę się czuł jak starzec, zapomniał słów; że będę zawadzał, że przyłapią mnie, jak mówię sam do siebie. Wciąż mam się na bacności, to zajmuje mi cały czas, starzenie się jest takie wyczerpujące...”

Na wieszaku w szafie znalazła jego najnowszy garnitur, wyprasowaną koszulę, wyglansowane na błysk buty. Wszystko było gotowe.

Poprzedniego dnia pan Péricourt jadł kolację z nią i swoim wnukiem Paulem, siedmioletnim ładnym chłopcem o bladej karnacji, nieśmiałym i jękającym się. Ale w przeciwieństwie do innych wieczorów nie zapytał go o postępy w nauce, o to, co robił w ciągu dnia, nie zaproponował, by dokończyli partię warcabów. Siedział zamyślony, nie to, że niespokojny, nie, ale niemal rozmarzony, co było do niego niepodobne; ledwie tknął jedzenie, tyle że uśmiechał się, by pokazać, że jest obecny. A że posiłek wydał mu się zbyt długi, złożył serwetkę, pójde do siebie, powiedział, dokończcie beze mnie, na chwilę przytulił do siebie głowę Paula, no, to dobrej nocy. Choć często uskarżał się na różne bóle, tym razem ruszył do schodów sprężystym krokiem. Zwykle opuszczał jadalnię ze słowami „Bądźcie grzeczni”. Tym

razem zapomniał. A nazajutrz nie żył.

W czasie kiedy na dziedzińcu rezydencji pojawił się karawan ciągnięty przez dwa konie w czaprakach, kiedy mistrz ceremonii gromadził bliskich i rodzinę i pilnował, by wszyscy zajęli miejsca zgodnie z protokołem, Madeleine i prezydent Republiki stali obok siebie ze spojrzeniem utkwionym w dębowej trumnie, na której jaśniał wielki srebrny krzyż.

Madeleine zadrżała. Czy kilka miesięcy temu dokonała właściwego wyboru?

Była samotna. A konkretnie rozwiedziona, co w owych czasach na jedno wychodziło. Jej były mąż, Henri d'Aulnay-Pradelle, po głośnym procesie odsiadywał karę w więzieniu. I ta pozycja kobiety bez mężczyzny martwiła jej ojca, który myślał przyszłościowo. „W tym wieku należy wyjść za mąż! – mawiał. – Bank posiadający udziały w licznych spółkach handlowych nie jest zajęciem dla kobiety”. Skądinąd Madeleine zgadzała się z tym, pod jednym wszakże warunkiem: mąż od biedy ujdzie, ale nie mężczyzna, z Henrim już swoje przeżyłam, wielkie dzięki, ślub, zgoda, ale w kwestii amorów nie ma co na mnie liczyć. Jakkolwiek często twierdziła, że to nieprawda, z tym pierwszym związkiem, który okazał się katastrofą, wiązała spore nadzieje, więc teraz, żeby było jasne, małżonek ewentualnie tak, ale nic ponadto, tym bardziej że nie miała najmniejszego zamiaru starać się o więcej dzieci. Do szczęścia w zupełności wystarczał jej Paul. Działo się to ostatniej jesieni, kiedy do wszystkich zaczęło docierać, że Marcel Péricourt długo nie pociągnie. Był ostrożny w podejmowaniu jakichkolwiek kroków, bo wiele jeszcze lat upłynie, nim jego wnuk, Paul jąkała, przejmie stery rodzinnej firmy. Pomijając już fakt, że nie bardzo sobie wyobrażano tę sukcesję, mały Paul z wielkim trudem artykułował słowa, najczęściej rezygnował z wypowiedzi, to za trudne, ładny mi prezes...

Wtedy jako partia idealna dla Madeleine pojawił się Gustave Joubert, pełnomocnik Banku Péricourt, bezdzietny wdowiec. Mężczyzna pięćdziesięcioletni, oszczędny, stateczny, zorganizowany, zrównoważony, przewidujący, żywiący tylko jedną pasję, do mechaniki: do samochodów – nie znosił Benoista, za to uwielbiał Charavela – i samolotów – nienawidził Blériota, za to czcił darzył Daurata.

Pan Péricourt żywo orędownał za tym rozwiązaniem. Również Madeleine na nie przystała, ale: „Postawmy sprawę jasno, Gustave – uprzedziła go. – Jest pan mężczyzną, nie będę miała nic przeciwko temu, by pan... No, wie pan, co chcę przez to powiedzieć. Ale pod warunkiem, że będzie pan dyskretny, nie chcę po raz drugi zostać ośmieszona”.

Joubertowi wymóg ten o tyle łatwiej było zrozumieć, że Madeleine mówiła o potrzebach, których rzadko doświadczał.

Ale oto kilka tygodni później nagle oznajmiła ojcu i Joubertowi, że koniec końców nici z małżeństwa.

Wiadomość podziiałała jak grom z jasnego nieba. Mało powiedziane, że pan Péricourt rozgniewał się na córkę i jej niedorzeczne argumenty: ona ma trzydzieści sześć lat, on pięćdziesiąt jeden, jakby to teraz odkryła! A poza tym czy nie jest odwrotnie, czy nie lepiej poślubić mężczyznę dojrzałego i ustatkowanego? Nie, Madeleine zdecydowanie „nie widziała się” w tym małżeństwie.

Więc nie.

I odmówiła dalszej dyskusji.

Dawniej pan Péricourt nie zadowoliliby się taką odpowiedzią, ale był już zmęczony. Argumentował, nalegał, a potem ustąpił; tego typu zaniechanie uświadomiło ludziom, że nie jest już tym, kim był.

Dziś Madeleine z niepokojem zadawała sobie pytanie, czy podjęła słuszną decyzję.

Na zewnątrz wszystko uległo zawieszeniu do czasu wyjścia prezydenta z kaplicy pogrzebowej.

Goście na dziedzińcu zaczęli liczyć minuty; przyszli, żeby się pokazać, nie żeby spędzić tu cały dzień. Najtrudniej było nie tyle uchronić się przed zimnem, bo to było niemożliwe, ile obmyślać wybiegi pozwalające ukryć niecierpliwość, by jak najszybciej mieć to już za sobą. Nic nie pomagało, uszy, dłonie i nosy, nawet osłonięte, drętwiały z zimna, ludzie dyskretnie przytupywali nogami, zaczęli już pomstować na zmarłego, że tak zwleka z wyjściem. Chcieli, żeby kondukt jak najszybciej wyruszył, przynajmniej będą szli.

Rozeszła się wieść, że trumna nareszcie będzie zniesiona.

Na dziedzińcu, za kapłanem w czarno-srebrnej pelerynie, ustawili się ministranci w fioletowych sutannach i białych komżach.

• • •

Mistrz ceremonii dyskretnie spojrzał na zegarek, odmierzoną krokiem weszł po schodach na krużganek, by mieć szerszy ogłód sytuacji, i poszukał wzrokiem osób, które za kilka minut miały poprowadzić kondukt.

Byli wszyscy, oprócz wnuka zmarłego.

Tymczasem przewidziano, że mały Paul pójdzie na czele razem z matką, oboje nieco wyprzedzając resztę pochodu; taki widok dziecka za trumną bardzo się zawsze podoba. Zwłaszcza że chłopczyk ze swoją twarzyczką lunatyka i lekko podkrążonymi oczami sprawiał wrażenie kruchego, co przyda widowisku wysoce wzruszającego akcentu.

Léonce, dama do towarzystwa Madeleine, podeszła do nauczyciela Paula, Andrégo Delcourta, który notował coś gorączkowo w małym kajecie, i poprosiła, by dowiedział się o swojego młodego podopiecznego. Spojrzał na nią oburzony.

– Ależ, Léonce...! Widzisz przecież, że jestem zajęty!
Tych dwoje nigdy się nie lubiło. Rywalizacja służących.

– André – odparła Léonce – nie wątpię, że kiedyś będziesz sławnym dziennikarzem, ale na razie jesteś tylko nauczycielem. Więc idź i poszukaj Paula.

Wściekły André zamknął kajet, schował ze złością ołówek do kieszeni i przepaszając na prawo i lewo, z wymuszonym uśmiechem próbował utorować sobie drogę do wejścia.

• • •

Madeleine odprowadziła prezydenta, którego samochód następnie ruszył przez dziedziniec, a podczas jego przejazdu tłum rozstępował się na boki, jakby to on był zmarłym.

Przy akompaniamencie warkotu werbli Gwardii Republikańskiej trumna Marcela Péricourta dotarła wreszcie do westybulu. Otworzono na oścież drzwi.

W ślad za ciałem ojca po schodach zeszła Madeleine; pod nieobecność wuja Charles'a, którego nigdzie nie udało się znaleźć, podtrzymywał ją Gustave Joubert. Léonce spojrzeniem szukała Paula u boku matki, ale małego nie było. André, który już wrócił, rozłożył ręce w geście bezsilności.

Niesiona na barkach delegacji Wyższej Szkoły Sztuk i Rzemiosł trumna została umieszczona w oszklonym karawanie. Ułożono wieńce i wiązanek. Podszedł oficer niosący na poduszce wielki krzyż Legii Honorowej.

• • •

Pośrodku dziedzińca tłum oficjeli nagle się zakołysał. Dziwnie się rozstał, jakby gotowy się wręcz rozproszyć.

Trumna i karawan przestały już być w centrum uwagi.

Spojrzenia przeniosły się na fasadę domu. Na ustach zebranych zamarł jednogłośny krzyk.

Z kolei Madeleine podniosła oczy i rozdziawiła usta – w górze, na drugim piętrze, na parapecie okna stał siedmioletni Paul z szeroko rozłożonymi ramionami. Przed pustką.

Był w czarnym oficjalnym garniturze, ale bez krawata, w rozpiętej pod szyją białej koszuli.

Wszyscy patrzyli w górę, zupełnie jakby obserwowali start zeppelinu.

Paul ugiął lekko kolana.

Nim ktokolwiek zdążył go zawołać, podbiec, wypuścił z rąk skrzydła okna i – przy akompaniamencie krzyku Madeleine – skoczył.

Spadając, ciało dziecka skręcało się na wszystkie strony jak ptak trafiony wystrzałem z fuzji. Po szybkim i beładnym upadku wylądował na wielkim czarnym baldachimie i na moment w nim zniknął.

Wstrzymano westchnienie ulgi.

Ale odbiwszy się od napiętego sukna, jak diabeł wyskakujący z pudełka chłopiec znowu się pojawił.

Ponownie wzbił się w górę i spadł, przebijając kotarę.

I roztrzaskał się na trumnie swojego dziadka.

Na milczącym nagle dziedzińcu głuchy odgłos uderzenia jego czaszki o dębowe drewno wywołał wstrząs w piersi wszystkich.

Ludzie byli oszołomieni, czas się zatrzymał.

Kiedy rzucono się ku Paulowi, leżał na plecach.

Z uszu płynęła mu krew.

2

Mistrz ceremonii był zbity z pantałyku. A przecież co jak co, ale na branży pogrzebowej się znał, obsługiwał już pogrzeby nieprzebranej liczby akademików, czterech zagranicznych dyplomatów, pochował nawet trzech prezydentów, urzędujących lub byłych. Znany był ze swojej zimnej krwi, panowania nad sytuacją, ale ten dzieciak, który spadł z drugiego piętra na trumnę swojego dziadka, nie mieścił się w żadnej z kategorii. Co powinien zrobić? Stał z zagubionym spojrzeniem, ze spoconymi dłońmi, zdezorientowany. Trzeba przyznać, że to go kompletnie przerosło. Zresztą kilka tygodni potem umarł, istny Vatel zakładu pogrzebowego.

Pierwszy podbiegł profesor Fournier.

Wdrapał się na karawan, bezceremonialnie odsunął wieńce, tak że zleciały na bruk, i nie zmieniając pozycji dziecka, przeprowadził szybkie badanie kliniczne.

Postąpił słusznie, ponieważ tłum, który zaczynał już reagować, podniósł nieopisaną wrzawę. Odświętnie wystrojeni ludzie zamienili się w płonących z ciekawości gapiów, wypadek, jest wypadek!, słychać było ochy i achy, widzieliście? No pewnie, to syn Péricourta! Nie, to niemożliwe, tamten zginął pod Verdun! Nie, nie ten, drugi, ten mały! Jak to, wyskoczył przez okno?

Wypadł? Ja tam uważam, że ktoś go wypchnął... Ach, mimo wszystko! Ależ tak, spójrzcie tylko, jest jeszcze otwarte, och, to prawda, no nie, Michel, zachowuj się, proszę! Jeden relacjonował to, co widział, drugiemu, który widział to samo.

U stóp karawanu, uczeplona jego drewnianej burty, wbijając w nią paznokcie niczym szpony, Madeleine zawodziła jak potępiona. Léonce, też zapłakana, próbowała przytrzymać ją za ramiona, nie do wiary, dziecko, które tak wypada z okna drugiego piętra, czy to możliwe, ale wystarczyło przenieść wzrok na te zrzucane bezładnie wieńce, by wskroś tłumu dostrzec ciało Paula, spoczywające niczym figura nagrobna na dębowej trumnie, i nachylnego nad nim doktora Fourniera, szukającego śladów bicia jego serca, oznak oddechu. Profesor wyprostował się, cały we krwi, w poplamionym po plastron smokingu, ale na nic ani na nikogo nie patrzył, tylko wziął dziecko na ręce i wstał. Jakiś fotograf szczęściarz pstryknął obrazek, który obiegnie cały kraj: na karawanie, obok trumny Marcela Péricourta, stoi profesor Fournier, trzymając na rękach dziecko, któremu z uszu tryska krew.

Ktoś pomógł mu zejść.

Tłum rozstał się.

Z małym Paulem w ramionach profesor pobiegł między rzędami ludzi, a za nim ruszyła spanikowana Madeleine.

Kiedy przechodzili, komentarze cichły; to nagłe skupienie było jeszcze bardziej posępne niż sam pogrzeb. Zarekwirowano sizaire'a-berwicka należącego do pana de Florange'a, którego małżonka, stojąc obok drzwi samochodu, wyłamywała sobie palce ze strachu, że z siedzeń nie zejdzie już krew.

Fournier i Madeleine, z leżącym w poprzek ich kolan, miękkim jak worek ciałem dziecka, usiedli z tyłu. Madeleine spojrzała błagalnie na Léonce i Andrégo. Léonce ani sekundę się nie wahała, ale André przez chwilę zwlekał. Odwrócił się w

stronę dziedzińca, omiótł spojrzeniem karawan, wieńce, trumnę, konie, mundury i garnitury... A potem spuścił głowę i wszedł do samochodu. Drzwi się zatrzasnęły.

Pomknęli do szpitala Pitié.

• • •

Wszyscy byli oszołomieni. Ministrantom skradziono występ, ich ksiądz najwyraźniej już zwątpił, Gwardia Republikańska wahała się, czy ma zaintonować muzykę żałobną, którą przewidywał program.

No i był jeszcze problem krwi.

Bo pogrzeb to piękna ceremonia, ale tylko przy zamkniętej trumnie, natomiast krew jest czymś organicznym, budzi lęk, odsyła do bólu, który jest jeszcze gorszy od śmierci. Tymczasem na dziedzińcu aż po chodnik widać było krew Paula, krople, których śladem szło się jak po wiejskim podwórku. Ich widok przypominał tego malca z bezwładnie zwisającymi rękami, mroził ludzi do szpiku kości, jak po czymś takim pogodnie uczestniczyć w niewłasnym pogrzebie...

Służba domowa, przekonana, że robi słusznie, rozsypała garści trocin, efekt murowany, ludzie zaczęli kastać, odwracali wzrok.

A potem uświadomiono sobie, że nie wypada przecież odprowadzić na cmentarz trumny ociekającej krwią małego dziecka. Zaczęto szukać czarnego sukna, ale nie znaleziono. Jeden ze służących z wiadrem parującej gorącej wody wszedł na karawan i gąbką próbował umyć srebrny krzyż.

Wtedy Gustave Joubert, człowiek czynu, zarządził, by zdjąć wielką niebieską kotarę z biblioteki pana Péricourta. Była to ciężka, mięsista tkanina, którą Madeleine kazała zawiesić, by ojciec mógł w ciągu dnia odpoczywać mimo słońca oświetlającego fasadę domu.

W tym samym oknie, z którego ledwie kilka minut wcześniej wyskoczyło dziecko, ujrano ludzi na stołkach, z rękami wyciągniętymi w górę.

W końcu zrolowana w pościechu tkanina została zniesiona na dół. Z respektem rozpostarto ją na trumnie, była to jednak tylko szeroka kotara, co wyglądało tak, jakby się chowało człowieka w szlafroku. Tym bardziej że nie udało się odłączyć trzech miedzianych kółek, które przy najsłabszym ruchu powietrza zaczynały uporczywie klekotać o bok trumny...

Wszystkim się spieszyło, by sprawy znów ruszyły normalnym tokiem oficjalnej, czyli śmiechu wartej, uroczystości pogrzebowej.

• • •

Podczas jazdy spoczywający na kolanach zapłakanej matki Paul ani drgnął. Miał bardzo słaby puls. Szofer na okrągło trąbił, trzęsło nimi jak w bydlęcym wagonie. Léonce przytuliła ramię Madeleine. Profesor Fournier owinął swoim białym szalem głowę dziecka, próbując zatamować krwotok, ale krew nie przestawała płynąć, zaczynała już skapywać na podłogę.

André Delcourt, który pechowo zajmował miejsce naprzeciwko Madeleine, odwracał wzrok, ilekroć było to możliwe; był rozdrażniony.

Madeleine spotkała go w katolickiej szkole, do której zamierzała posłać syna, gdy ten osiągnie odpowiedni wiek. Wysoki i szczupły młodzieniec o falistych włosach, konwencjonalny okaz swoich czasów, o brązowych, nieco chmurnych oczach, lecz ustach pełnych i wyrazistych. Był korepetytorem z francuskiego, mówiono, że zna łacinę na wylot, a w razie potrzeby mógł nawet zastąpić nauczyciela rysunku. Potrafił bez końca rozprawiać o włoskim renesansie, który był jego wielką pasją. A że miał się za poetę, demonstrował rozgorączkowane spojrzenie, przybierał natchnione miny, zniecierpliwienie przechylał na bok głowę, co w jego

mniemaniu miało wskazywać, iż właśnie naszła go jakaś myśl. Nie rozstawał się nigdy ze swoim kajetem, przy byle okazji wyjmował go i odwracając się, gorączkowo w nim notował, po czym powracał do rozmowy z miną człowieka podnoszącego się z bolesnej choroby.

Madeleine natychmiast spodobały się jego długie dłonie, pociągła twarz i pewna gorączkowość, mogąca wróżyć płomienne chwile. Ona, która nie chciała już mężczyzny, odkryła w tym nieoczekiwany urok. Zrobiła próbę, André się spisał.

Spisał się wręcz wybornie.

W jego ramionach odnalazła wspomnienia, bynajmniej nie niemiłe. Czuła się pożądana, André był bardzo dworny, nawet jeśli długo trwało, nim przeszedł do rzeczy, bo zawsze chciał się podzielić jakimiś wrażeniami, wyjaśnić jakieś wizje, skomentować jakieś idee; był gadułą, który w kalesonach nadal recytował wiersze, lecz kiedy wreszcie umilkł, w łóżku zachowywał się bez zarzutu. Czytelnicy, którzy znają już Madeleine, wiedzą, że nigdy nie była zbyt piękna. Nie to, że brzydka, ale dość banalna, ten typ kobiety, którego się nie zauważa. Poślubiła mężczyznę bardzo przystojnego, który jej nigdy nie kochał; przy André odkryła szczęście bycia pożądaną. Oraz wymiar życia seksualnego, jakiego nigdy się dla siebie nie spodziewała; starsza od niego, czuła się w obowiązku poczynić pierwsze kroki, pokazać, wytłumaczyć w praktyce, krótko mówiąc, wyjść z inicjatywą. Było to ewidentnie niepotrzebne – André, choć poeta wyklęty, zdążył już odwiedzić sporo lupanarów, uczestniczył w kilku orgiach, podczas których dowiódł wielkiej otwartości umysłu i bezsprzecznej zdolności adaptacji. Ale był też realistą. Zorientowawszy się, że Madeleine, choć nie bardzo mając po temu kwalifikacje, uwielbia rolę inicjatorki, odnalazł się w tej sytuacji z rozkoszą o tyle bardziej szczerą, że dogadzała jego skrytym inklinacjom do bierności.

Ich schadzki niezwykle komplikował fakt, że André mieszkał

w internacie szkoły, gdzie wizyty były zabronione. Najpierw ratowali się pokojem w hotelu, dokąd Madeleine przychodziła, skradając się pod murami, a wychodziła ze spuszczoną głową jak wodewilowa złodziejka. Dając Andrému pieniądze na opłacenie hotelu, uciekała się do różnych podstępów, by nie stwarzać wrażenia, że go kupuje, że funduje sobie mężczyznę. Kładła banknoty na parapecie kominka, ale to kojarzyło się z burdelem. Wsuwała je do jego surduta, lecz w recepcji znajdował je dopiero po przetrząśnięciu wszystkich kieszeni, dzięki za dyskrecję. Krótko mówiąc, trzeba było znaleźć inne rozwiązanie, co było o tyle bardziej naglące, że Madeleine nie dość, że wzięła sobie kochanka, to jeszcze się zakochała. André był prawie całkowitym zaprzeczeniem jej męża. Wykształcony, troskliwy, bierny, acz pełen wigoru, zawsze gotowy, nigdy wulgarny; miał właściwie tylko jedną wadę: był biedny. Nie żeby dla Madeleine miało to znaczenie – była bogata za ich dwoje – ale miała pozycję, którą musiała utrzymać, ojca, który niezbyt życzliwym okiem widziałby jako zięcia młodzieńca o dziesięć lat młodszego od córki i dogłębnie niezdolnego do wejścia w świat biznesu. Poślubienie Andrégo nie wchodziło w rachubę, znalazła więc rozwiązanie praktyczne: najlepiej zrobić go guwernerem Paula. Dziecko korzystałoby z indywidualnej nauki, miałoby uprzywilejowany kontakt z nauczycielem, a przede wszystkim nie musiałoby chodzić do szkoły; pogłoski krążące na temat tego, co się dzieje w szkołach – nawet tych najlepszych – przerażały ją, zakonnici pedagodzy zdobyli już pod tym względem solidną reputację.

Krótko mówiąc, Madeleine nie przestawała wynajdywać nowych plusów swojej strategii.

André zamieszkał więc na piętrze rezydencji rodziny Péricourtów.

Mały Paul powitał pomysł z zadowoleniem, bo wyobraził sobie,

że zyska towarzysza zabaw. Czekало go jednak rozczarowanie. Choć przez pierwsze tygodnie wszystko szło dobrze, Paul wykazywał coraz mniej entuzjazmu. Łaciny, francuskiego, historii, geografii nikt nie lubi, mówiła sobie Madeleine, wszystkie dzieci są takie same, tym bardziej że André bardzo poważnie traktował swoją pracę. Stopniowe zniechęcenie syna prywatnymi lekcjami w niczym nie umniejszyło zaślepienia matki, która upatrywała w tym liczne korzyści; musiała tylko dyskretnie wejść dwa piętra do góry. A niekiedy André zejść dwa piętra w dół. Skutkiem czego ich związek stał się w domu Péricourtów tajemnicą poliszynela. Służący zabawiali się małpowaniem swojej pani, pokazując, jak z łakomą miną skrada się po schodach służbowych na górę. Kiedy naśladowali Andrégo odbywającego tę samą drogę, tylko w dół, przedstawiali go jako człowieka wykończonego i ślaniającego się na nogach. Śmiechu było w kuchniach co niemiara.

Dla Andrégo, któremu marzyło się być literatem, wyobrażającego sobie, że spróbuje dziennikarstwa, potem opublikuje pierwszą książkę, drugą i otrzyma, czemu nie, wielką nagrodę literacką, bycie kochankiem Madeleine Péricourt stanowiło bezsprzecznie atut, ale ten pokoik na górze, doprawdy, ledwie piętro niżej niż służba, był trudnym do zniesienia upokorzeniem. Przecież André widział, że pokojówki chichoczą, że szofer z wyższością się uśmiecha. W pewnym sensie był jednym z nich. Świadczył posługę seksualną, ale jednak posługę. To, co schlebiałoby fordanserowi, dla poety było uwłaczające.

Dlatego też wydostanie się z tej poniżającej kondycji stało się pilną koniecznością.

Oto dlaczego był tego dnia tak nieszczęśliwy: pogrzeb pana Péricourta miał być dla niego wielkim wydarzeniem, ponieważ Madeleine zadzwoniła do Jules'a Guilloteaux, naczelnego „Soir de Paris”, i poprosiła, by André napisał sprawozdanie z pogrzebu jej ojca.

Wyobraźcie sobie: długi artykuł zaczynający się na pierwszej stronie! W najlepiej sprzedającym się dzienniku Paryża!

André od trzech dni żył tym pogrzebem, wielokrotnie odbył pieszo trasę przejazdu karawanu. Zawczasu zreagował już nawet całe akapity. „Okrywające karawan niezliczone wieńce przydają żałobnemu rydwanowi dostojęństwa, które nieodparcie przywodzi na myśl spokojny i mocarny krok tego giganta francuskiej gospodarki. Jest godzina jedenasta. Za chwilę żałobny kondukt wyruszy. W pierwszym, uginającym się pod ciężarem hołdów, samochodzie z łatwością dostrzec można...”

Co za gratka! Gdyby ten artykuł się spodobał, być może gazeta by go zatrudniła... Ach, móc zarabiać porządnie na życie, uwolnić się od uwłaczających więzów, w których musiał trwać. Co więcej: odnieść sukces, być bogatym i sławnym.

I ten oto wypadek wszystko zaprzepaścił, odesłał go z powrotem na linię startu.

André z uporem wyglądał przez okno, by nie napotkać spojrzeniem zamkniętych oczu Paula, zapłakanej twarzy Madeleine i spiętej, niedostępnej twarzy Léonce. I tej powiększającej się kałuży na podłodze. Na myśl o tym martwym dziecku (lub prawie martwym, jego ciało było bezwładne; pod przesiąkniętym krwią szalem nie widać było śladu oddechu) pękało mu z żalu serce, ale ponieważ myślał również o sobie, o tym wszystkim, co właśnie przepadło, o swoich nadziejach, oczekiwaniach, o tej straconej okazji, rozplakał się.

Madeleine ujęła go za rękę.

• • •

Na pogrzebie brata Charles Péricourt był więc ostatnim jeszcze obecnym członkiem rodziny. W końcu wypatrzono go w pobliżu schodów, w towarzystwie jego „haremu”, jak nazywał żonę i dwie córki, gdyż nie był człowiekiem wyrafinowanym. Uważał,

że jego małżonka Hortense nie dość lubiła mężczyzn, żeby rodzić chłopców. Miał dwie dorastające córki o chudych nogach, kościstych kolanach i z zaawansowanym trądzikiem, które co rusz parskały śmiechem, co zmuszało je do zasłaniania ręką szpetnego uzębienia, przyprawiającego o rozpacz ich rodziców; zupełnie jakby przy narodzinach dziewcząt jakiś zniechęcony bóg wrzucił każdej w usta garść zębów, a dentyści wpadali w popłoch, bo trzeba by było usunąć je wszystkie i założyć obu sztuczne szczęki; do końca swoich dni skazane były na chowanie się za wachlarzem. Potrzebne było mnóstwo pieniędzy na klinikę stomatologiczną lub w jej zastępstwie na posag. Sprawa ta wisiała nad Charles'em niczym kłątwa.

Opasły brzuch, jako że połowę życia spędzał przy stole, siwe od zawsze, zaczesane do tyłu włosy, ociężałe rysy i wydatny nos (oznaka stanowczego charakteru, jak podkreślał), sumiaste wąsy – oto cały Charles. Do tego dodajcie jeszcze zaczerwienioną twarz i opuchnięte oczy, ponieważ od dwóch dni opłakiwał śmierć starszego brata.

Kiedy tylko żona i córki ujrzały, że wychodzi z toalety, rzuciły się ku niemu, ale ze wzburzenia żadna nie zdołała klarownie wyjaśnić mu, co się stało.

– Co? Co takiego? – pytał, obracając się na wszystkie strony.
– Jak to wyskoczył, kto wyskoczył?

Gustave Joubert spokojnym i stanowczym ruchem je odsunął, zechce pan pójść ze mną, Charles, i prowadząc go w stronę dziedzińca, wyjaśnił, że teraz to on, Charles, reprezentuje rodzinę, z czym wiąże się pewna odpowiedzialność.

Charles zagubionym wzrokiem rozglądał się dookoła, próbując rozeznaczyć się w sytuacji zupełnie innej niż ta, kiedy wychodził. Ekscytacja tłumu nie przystawała do okoliczności pogrzebu, jego córki, rozcapierzonymi palcami zasłaniając usta, piszczą, żona zanosila się szlochem. Joubert trzymał go za ramię,

pod nieobecność Madeleine pan będzie musiał poprowadzić kondukt...

Tymczasem Charles był o tyle bardziej rozstrojony, że stanął przed bolesnym dylematem sumienia. Śmierć brata napełniła go ogromnym żalem, ale też nastąpiła w samą porę, by wyciągnąć go z bardzo poważnych kłopotów prywatnych.

Zorientowaliśmy się już, że nie należał do orłów intelektu, był jednak spryciarzem, który w pewnych okolicznościach potrafił sięgnąć do swych rezerw po nieoczekiwany gambit, dający jego bratu czas na wybawienie go z opresji.

Ocierając chusteczką oczy, stanął na palcach i w czasie gdy kończono okrywanie karawanu niebieską kotarą, kiedy z powrotem umieszczano na nim wieńce, gdy ministranci wracali na swoje miejsce, a orkiestra dla wypełnienia tych kłopotliwych chwil zaintonowała powolny marsz, Charles uwolnił się z uchwytu Jouberta, podbiegł do jakiegoś mężczyzny, znienacka ujął go pod ramię i tym sposobem, z pogwałceniem wszelkich reguł protokołu, Adrien Flocard, drugi doradca ministra robót publicznych, znalazł się na czele konduktu pomiędzy bratem zmarłego, jego małżonką Hortense i jego córkami Jacinthe i Rose.

Charles był od Marcela o trzynaście lat młodszy, co mówi samo za siebie. Miał zawsze wszystkiego mniej od brata. Młodszy, mniej inteligentny, mniej pracowity, więc i mniej zamożny; dzięki pieniądзом starszego brata w 1906 roku został deputowanym. „Ileż to kosztuje, żeby człowieka wybrali – komentował z wprawiającą w zakłopotanie naiwnością. – Nie do wiary, ile trzeba rozdać wyborcom, gazetom, stronnikom, konkurentom...”

„Jeśli wystartujesz w tej batalii – uprzedzał Marcel – nie ma mowy o przegranej. Nie chcę, żeby Péricourta pokonał jakiś anonimowy socjalistyczny radykał!”

Wybory poszły gładko. Uzyskanie mandatu stwarzało liczne

korzyści, Republika była dobrą córką, nieskąpiącą grosza, a wręcz hojną dla szachrajów jego pokroju.

Wielu deputowanych myślało o swoim okręgu, Charles myślał tylko o swojej reelekcji. Dzięki talentom szczodrze opłaconego genealoga ekshumował bardzo stare i bardzo niepewne rodowe korzenie w Seine-et-Oise, które przedstawiał jako pradawne, i z całą powagą nazywał się synem tej ziemi. Nie posiadał dosłownie żadnych przymiotów polityka, jego zadanie polegało wyłącznie na podobaniu się wyborcom. Bardziej drogą intuicji niż refleksji wybrał dziedzinę niezmiernie popularną, zdolną jednoczyć ludzi nie tylko z jego obozu, zadowolić i bogatych, i biednych, i konserwatystów, i liberałów – walkę z podatkami. Żyzną glebę. Od 1906 roku gwałtownie atakował projekt podatku dochodowego autorstwa Caillaux, podkreślając, że przeraża on „tych, którzy posiadają, tych, którzy oszczędzają, tych, którzy pracują”. Tydzień w tydzień wytrwale przemierzał swój okręg, ścisnął dłonie, grzmiał przeciwko „nieznośnej inkwizycji podatkowej”, przewodniczył wręczaniu nagród, zjazdom rolników, turniejom sportowym i punktualnie pojawiał się na uroczystościach kościelnych. Aktualizował różnokolorowe kartonowe fiszki, na których pilnie notował wszystko, co mogło okazać się ważne przy reelekcji: miejscowi dostojnicy, ambicje, upodobania seksualne tych i tamtych, dochody, długi i grzechy swoich przeciwników, anegdoty, plotki i generalnie wszystko, co mógłby w odpowiednim czasie wykorzystać. Redagował pisemne zapytania do ministrów, broniąc interesów swoich wyborców, i dwa razy do roku udawało mu się dorwać na kilka minut do mównicy w Zgromadzeniu, by wspomnieć o jakiejś sprawie interesującej jego okręg. Te skrupulatnie odnotowywane w dzienniku urzędowym wystąpienia pozwalały mu stanąć z podniesioną głową przed wyborcami, świadczyły bowiem, że dla nich wychodził ze skóry, że nikt by się lepiej nie spisał.

Tak wielka energia zdałaby się na nic bez pieniędzy. Fundusze potrzebne były na plakaty wyborcze, na mityngi, ale również przez cały okres sprawowania mandatu na opłacanie agitatorów wyborczych, najczęściej księży, sekretarzy merostwa i niektórych właścicieli barów, oraz na pokazanie wszystkim, że wybór brata bankiera przedstawia niezrównane korzyści, gdyż taki może subwencjonować kluby sportowe, dostarczać książki na wręczanie nagród, losy na tombole, sztandary dla weteranów oraz załatwiać wszelkiej rangi medale i odznaczenia każdemu lub prawie każdemu.

Świętej pamięci Marcel Péricourt sięgał do kieszeni w 1906, w 1910 i w 1914 roku. W 1919 nie musiał, gdyż Charles, który otrzymał przydział do oddziałów intendentury nieopodal Chalon-sur-Saône, bez wysiłku załapał się na ogromną falę zwaną *bleu horizon*, która sprowadziła do parlamentu mnóstwo weteranów wojennych.

Ostatnim razem, w 1924 roku, by zapewnić bratu mandat deputowanego, Marcel musiał wyłożyć znacznie więcej pieniędzy, gdyż czasy sprzyjały kartelowi lewicy i prawicowego kandydata o bardzo skromnym dorobku znacznie trudniej było przepchnąć w wyborach.

Tak więc Marcel od zawsze robił wszystko dla Charles'a i jego kariery. I jeśli sprawy potoczą się po jego myśli, brat nawet po śmierci znów wyciągnie go z katastrofalnej sytuacji.

O tym właśnie chciał bezzwłocznie porozmawiać z Adrienem Flocardem.

Kondukt ruszył. Charles hałaśliwie wytarł nos.

– Ci architekci są osobliwie zachłanni... – zagał.

Drugi doradca, urzędnik do szpiku kości, wykarmiony na kodeksie cywilnym, na łożu śmierci będzie recytował ustawę Roustana, tak więc drugi doradca zmarszczył brwi. Karawan posuwał się z dostojną powolnością. Wszyscy wciąż jeszcze

znajdowali się pod wpływem emocji spowodowanych upadkiem Paula z okna, emocji, których Charles nie doświadczał, gdyż tego nie widział, ale również dlatego, że w tym akurat momencie jego własne kłopoty były ważniejsze od śmierci brata i ewentualnej śmierci małego syna bratanicy.

A że Flocard nie podjął tematu, Charles, mocno zdenerwowany zarówno własnymi myślami, jak i brakiem reakcji urzędnika ministerialnego, dodał:

– Doprawdy wykorzystują sytuację, nie sądzi pan?

Z tej irytacji został nieco w tyle i musiał przyspieszyć kroku, by dogonić rozmówcę. Nienawykły do chodzenia, zaczynał już sapać. Pokiwał głową, jak tak dalej pójdzie, powiedział sobie, do wieczora w Paryżu nie ostanie się żywy ani jeden Péricourt!

Temperament Charles'a bazował na oburzeniu; uważał, że życie nigdy nie było dla niego sprawiedliwe, nigdy nie odpowiadało mu to, jak funkcjonuje świat. Sprawa z HBM-ami była dodatkowym tego dowodem.

By stawić czoło ogromnemu kryzysowi mieszkaniowemu, departament nad Sekwaną ogłosił wielki program budowy tanich mieszkań. Nie lada gratka dla architektów, dla firm deweloperskich, dla producentów materiałów budowlanych. Oraz dla polityków sprawujących niepodzielne rządy nad zezwoleniami, koncesjami, wyłączeniami, prawami pierwokupu. Ciche prowizje i łapówki krążyły jak wino w raju i pośród tych sekretnych, acz sutych bachanaliów Charles nie zdołał uniknąć utytłania się. Będąc członkiem okręgowego komitetu przyznającego zezwolenia, pracował nad tym, by firma Bousquet & Frères otrzymała wspaniałą działkę przy rue des Colonies, dwa hektary terenu, na których można by wystawić piękny szereg domów z umiarkowanymi czynszami. Jak dotąd zwykła rutyna, Charles, jak wszyscy, zainkasował swoją prowizję. Ale przy okazji nabył też udziały w firmie Sables et Ciments de

Paris, wielkim producencie materiałów budowlanych, po czym starającym się o budowę Bousquet & Frères narzucił współpracę z nią. Odtąd koniec z chudymi kopertami i symbolicznymi łapówkami! Wraz z procentami od drewna, wyrobów żelaznych, betonu, wiązań dachowych, szkieletów budynku, smoły, tynku, zaprawy murarskiej na Charles'a spłynął deszcz wielkich pieniędzy. Jego córki miały teraz trzy razy więcej ubrań i trzy razy częściej odwiedzały dentystów, Hortense odnowiła całe umeblowanie z dywanami włącznie i nabyła horrendalnie drogiego psa czempiona, ohydneho mopsa, który bez przerwy piskliwie jazgotał i którego znaleziono na dywaniku nieżywego, jak nic zawał serca, więc kucharka wrzuciła go do kosza na śmieci razem z obierkami i rybimi ośćmi. Charles zaś zafundował swojej aktualnej kochance, aktorce wodewilowej specjalizującej się w parlamentarzystach, kamień wielki jak winne grono.

Życie Charles'a nareszcie osiągnęło poziom na miarę jego oczekiwań.

Lecz po tym trwającym dwa lata przejaśnieniu finansowym oto życie znów zaczęło go źle traktować. Wręcz bardzo źle.

– Mimo wszystko – mruknął Adrien Flocard – ten robotnik został bardzo...

Charles boleściwie zamknął oczy. Tak, dlatego że rozdająca na prawo i lewo różne prowizje firma Sables et Ciments de Paris, chcąc zachować zyski, musiała dostarczać materiały tańsze, mniej wysuszone drewno, mniej zwartą zaprawę, mniej zbrojony beton. Niewiele brakowało, a całe pierwsze piętro stałoby się parterem – jeden z murarzy przeleciał przez dziurę w podłodze – trzeba było je w pośpiechu stemplować. I prace budowlane zostały wstrzymane.

– Złamana noga, kilka pęknięć, też coś! – bronił swego Charles. – W końcu to nie katastrofa narodowa.

W rzeczywistości robotnik od ośmiu tygodni leżał w szpitalu i

nadal nie udawało się go postawić na nogi. Na szczęście chodziło o rodzinę skromną nawet w kwestii roszczeń, za garść banknotów zdołano uzyskać jej milczenie, nie ma o co robić tyle szumu. Za umiarkowaną sumę trzydziestu tysięcy franków w gotówce przedstawiciele HBM zamknęli sprawę, stwierdzając nieumyślną winę hospitalizowanego robotnika, i plac budowy znowu ruszył, lecz nie byli na tyle szybcy, by zapobiec rozprzestrzenieniu się kręgów na wodzie aż po Ministerstwo Robót Publicznych, gdzie kierownik wydziału, mimo że zainkasował dwadzieścia tysięcy franków, nie był w stanie zablokować powołania dwóch architektów, którzy zażądali po dwadzieścia pięć tysięcy na głowę za uznanie owego wypadku za naprawę przypadkowy.

– A w ratuszu albo w ministerstwie... Myśli pan, że dałoby się coś z tym zrobić? Chcę powiedzieć...

Adrien Flocard bardzo dobrze wiedział, co Charles chciał powiedzieć.

– To... – odparł wymijająco.

Sprawa była chwilowo ograniczona do kilku urzędników pełnych dobrej woli, tyle że pięćdziesiąt tysięcy franków, którymi dysponował Charles, już się rozplynęło, a mglista odpowiedź Flocarda oznaczała, że przed ostatecznym zamknięciem tej sprawy inni jeszcze pośrednicy wycenią swoje poczucie obowiązku oraz swoją republikańską nieprzekupność na krociowe sumy. Żeby zdusić skandal, trzeba będzie rozdać co najmniej pięć razy więcej kopert niż zwykle. Dobry Boże, jakże się to wszystko sprawnie kręciło!

– Potrzebuję tylko trochę czasu. Nic innego. Tydzień lub dwa, nie więcej.

Wszystkie nadzieje Charles pokładał w tej jednej okoliczności: za kilka dni notariusz ogłosi sukcesję, a on otrzyma swoją część.

– Zawsze można spróbować zyskać tydzień lub dwa... – zaryzykował Flocard.

– Brawo!

Z tego, co Charles'owi przypadnie w udziale po bracie, zapłaci, ile żądają, i po sprawie.

Wszystko wróci do normy, zostawi za sobą tę okropną historię.

Tydzień lub dwa.

Znów się rozplakał. Doprawdy miał najlepszego brata pod słońcem.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).